

AW II / 3560

Sławomir Tomasz Roch
(084) 638 60 92
rycerzniebieski@wp.pl

03. 05. 2003 r. Zamość
Święto Matki Bożej Królowej Polski

**WSPOMNIENIA MARII ROCH
Z D. TYMOCZKO ZE WSI LUDMIŁPOL W POW. WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI
NA WOŁYNIU 1935 - 1944**

Nazywam się Maria Roch mam 80 lat, mieszkam na kolonii Siedliska, gm Zamość, powiat Zamość, woj. Lubelskie. Urodziłam się 25 marca 1923 r. we wsi Ludków, powiat Jarosław w województwie Rzeszowskim. Na Wołyń moja rodzina przyjechała w 1932 r. i osiedliła się we wsi polsko-ukraińskiej Ludmiłpol, gm Werba, powiat Włodzimierz Wołyński, woj. Wołyńskie. Mój tato Filip Tymoczko kupił dużą gospodarkę po rodzinie niemieckiej, która wyjechała w inne miejsce, gdzieś do Niemiec. Gospodarka była duża, mieliśmy swój dom, oborę i stodołę oraz prawie 15 ha ziemi ornej. Na tamte czasy taki majątek kosztował około 30 tyś. zł. Warto przy tym pamiętać, że w tamtych czasach jedna, dobra przy tym krowa kosztowała 300 zł., były więc to, bardzo duże pieniądze. Tato zarobił je ciężką, uczciwą pracą we wcześniejszych latach, gdy był dwukrotnie w pracy w Stanach Zjednoczonych Ameryki. To była dla nas duża zmiana, w Ludkowie, koło Jarosława mieliśmy nie duży domek oraz zaledwie kilka ha ziemi ornej.

Miałam sześć rodzonych, pięknych sióstr: Józefa wyszła za mąż za Andrzeja Matusz i po wojnie wyjechała do Słupska i tam zamieszkali. Jest mi także wiadome, że mieli trzy dziewczynki: Helenę, Stanisławę i Władysławę. Moja druga rodzona siostra Stanisława zmarła w 1937 r. na zapalenie opon mózgowych mając zaledwie 18 lat i została pochowana na starym cmentarzu polskim w Swojczowie. Zaledwie rok później zmarła kolejna moja siostra Katarzyna i też pochowano ją na cmentarzu w Swojczowie. Czwarta moja siostra Władysława wyszła za mąż za Jana Osiowskiego i zamieszkali w Ludmiłpolu. Nie wiem co się właściwie stało z nimi po wojnie. Znajomi ludzie opowiadali mi, że Janek i jego żona Władka przeżyli ukryci, a po wojnie zostali w Ludmiłpolu. Może jeszcze żyją pośród Ukraińców. Piąta siostra miała na imię: Antonina, wyszła za mąż na Mikołajówkę za Grzegorza Sałamacha. Gdy doszło do strasznych rzezi na Wołyniu w 1943 r., moja siostra Antonina prawdopodobnie została zamordowana, a wraz z nią jej dwie córeczki: Helena lat 12 i młodsza Stanisława lat ok. 10. Słyszałam od ludzi, że jej mąż Grzegorz uratował się i uciekł do Polski. Jeszcze w drodze na Wołyń w 1932 r. zmarł bój braciszek Michał, przeziębził się, miał wtedy zaledwie dwa latka.

Zatem gdy przybyłam wraz z rodzicami na Wołyń do naszej wsi Ludmiłpol, gm. Werba, powiat Włodzimierz Wołyński, miałam wtedy zaledwie 8 lat. Jako mała dziewczynka chodziłam dwie klasy do szkoły podstawowej w Jarosławiu. Na tym zakończyła się moja edukacja, bowiem gdy przyjechalśmy na Wołyń rodzice nie puścili mnie do szkoły, ale kazali paść krowy. W tym czasie inne dzieci chodziły do szkoły podstawowej, która była w naszej wsi. Miałam wtedy dużo koleżanek i kolegów, wszyscy byli Polakami. Znałam też Ukraińskich rówieśników, ale nie miałam wśród nich bliższych przyjaciół. Pragnę jednak stanowczo zaświadczyć, że w tamtym czasie nie było między nami jeszcze wrogości. Ukraińcy powszechnie znali język polski i dobrze się nim posługiwali.

W Ludmiłpolu miałam właściwe radosne dzieciństwo, pamiętam jak dziś liczne potańcówki organizowane w naszym domu przez Franciszka Majcherskiego, także mieszkańca naszej wsi. Te wesołe "zabawy biletowe" były od roku 1934 do roku 1936, jeszcze za życia marszałka Józefa Piłsudskiego. W naszym domu było 6 pięknych sióstr, w kolejności to było tak: Jożefa, Antonina, Stanisława, Katarzyna, Władysława, Ja, po mnie był Michał i Helena. Chłopcy z naszej wsi pchali się więc do nas drzwiami i oknami. Przy czym Józefa Tymoczko były już mężatką, wyszła za mąż jeszcze w Jarosławiu, a ja była właściwie jeszcze dzieckiem. W naszym domu było bardzo dużo ponemieckich, pięknych wiśni, które wielokrotnie zrywaliśmy na sprzedaż.

Do kościoła w Swojczowie drogą było około 10 km, chodziliśmy więc na skróty przez pola, które były o wiele bliżej. Po drodze trzeba było przejść przez ukraińską wieś Poczekajkę, mieszkali tam prawie wyłącznie prawosławni Ukraińcy, którzy chodzili modlić się na nabożeństwa do cerkwi w Gnojnie. Gdy zamieszkaliśmy na Wołyniu byłam już po pierwszej komunii świętej, którą przyjąłem rok wcześniej w parafii Łowce, pod Jarosławiem. Kościół w Swojczowie stał w środku wioski przy głównej drodze, był bardzo duży, murowany i piękny. Otoczony był solidnym murem, a wejścia strzegła ładna zabytkowa brama. Pamiętam, że w ołtarzu głównym umieszczony był cudowny obraz Matki Bożej Swojczowskiej. W kościele bywałam najczęściej z okazji większych świąt kościelnych. Dla przykładu w święto Matki Bożej Gromnicznej chodziłam z Gromnicą, w Niedzielę Palmową z palmą, w Wielką Sobotę niosłam z radością święcąc pokarmy, na Boże Ciało piękne wianuszki, a na Matki Bożej Zielnej ziele. Pobliski cmentarz odwiedzałam w uroczystość Wszystkich Świętych, chodziłam wtedy na grób moich ukochanych sióstr Stanisławy i Katarzyny.

W Swojczowie było dwa odpusty, jednodniowy na Matki Bożej Zielnej i duży, trzydniowy na Matki Bożej Siewnej. Na uroczystości przyjeżdżało bardzo dużo ludzi w każdym wieku, pięknie, świątecznie poubierani. Szczególnie barwnie prezentowały się nasze kresowe dzieci i młodzież. Przed sumą z zakrystii wychodził kościelny i podchodził do lewej strony ołtarza głównego, gdzie znajdowała się mała ręczna korbka. Gdy on powoli kręcił, wszyscy wierni jak jeden mąż klękali na kościele, wzrok swój kierując na piękny obraz ukazujący Pana Jezusa w otoczeniu apostołów, w chwili gdy wstępuje do Nieba. W tym momencie z setek piersi płynęła piękna pieśń maryjna, śpiewana zawsze na odsłonięcie cudownego obrazu Matki Bożej Swojczowskiej. Tu i ówdzie można było wtedy dostrzec na policzku gorącą łzę, tymczasem cudowna ikona Matki Bożej Swojczowskiej powoli i majestatycznie odkrywała coraz więcej swego niezwykłego Oblicza. Obrzęd ten powtarzał się ponownie, tuż po zakończeniu mszy świętej tylko, że tym razem wszyscy gorąco i z wdzięcznością zegnali swoją Matkę, do następnego spotkania.

Pamiętam, że szczególnie uroczystość obchodzone było w Swojczowie święto Bożego Ciała. Z tej okazji organizowana była piękna i barwna procesja wokół naszego kościoła. Kapłan pod baldachimem szedł z Najświętszym Sakramentem, a przed nim bardzo dużo dziewczynek, ubranych na biało z koszyczkami pełnymi świeżych kwiatów. I ja przez dwa lata chodziłam wśród nich, aby ścielić kwieciami drogę przed krocącym Panem Jezusem. Dziś wspominam to bardzo miło! Bardzo dobrze utrwaliła mi się w pamięci uroczystość mojego Bierzmowania, miałam wtedy około 14 lat. Jako drugie imię wybrałam sobie wtedy babcię Pana Jezusa św. Annę. Tego dnia w kościele zgromadziło się dużo naszej młodzieży w towarzystwie ich rodzin, przyjechało też wielu gości. Sakramentu Bierzmowania udzielił ks. biskup, dziś już nie

pamiętam, jak się nazywał i skąd przyjechał. Mszę świętą sprawował w towarzystwie wielu księży.

Za murami kościoła był duży plac, gdzie zatrzymywały się furmanki i gdzie swoje stoiska rozstawiali kramarze. Zawsze było wokół nich dużo dzieci, gdyż można tam było kupić ładne zabawki i lubiane słodycze. Kramarze sprzedawali też dużo przeróżnych karteczek, w których były wypisane słowa rozmaitych pieśni. Na odpusty przyjeżdżali do nas katarzyniarze, pewnego razu dostrzegłam jednego z nich, jak pięknie wygrywał, a obok niego stała jego córka i śpiewała. Zatrzymałam się na chwilę, aby posłuchać. To była bardzo smutna pieśń o tragedii, niektóre jej słowa brzmiały tak:

**"RĘCE I OCZY ZWIĄZANE MIELI TE BIEDNE DZIECIĘA,
BIEDNE MOJE KWIATUSZKI, JAŚNIJCIE WRAZ Z ANIOŁAMI,
ŻE WAS W TAK MŁODZIUTKIM WIEKU!
OTOCZĄ SWYMI SKRZYDŁAMI."**

Dziewczynka śpiewała o polskiej rodzinie, której ojciec zamordował czworo swoich małych, niewinnych dzieci. Tragedia wydarzyła się w latach 30-tych w okolicach Tarnowa. Jako młoda dziewczyna bardzo lubiłam tańczyć i często chodziłam z przyjaciółmi na wiejskie zabawy, najczęściej bywałam jednak w naszej wsi.

LATA WOJNY 1939 - 1945

Nie zauważyłam, aby Ukraińcy we wrześniu 1939 r. organizowali jakieś rozruchy, jakieś powstanie. Nigdzie nie widziałam też, aby budowali bramy powitalne dla wkraczających Sowietów, czy wywieszali ukraińskie flagi narodowe. Nie spotkałam się nawet z tym, aby gdzieś nosili opaski niebiesko-żółte na rękach. W 1940 r. pracowałam odbierając mleko od chłopów w mleczarni, która znajdowała się w naszej wsi. Właśnie wtedy Niemcy chcieli wywieść mnie na roboty do Rzeszy, uratował mnie nasz sołtys Puzio. Ponieważ dobrze znał moją rodzinę, wstawił się za mną u Niemców, mówiąc aby mnie zabierali, ponieważ zostałam tylko jedna w domu z moimi, starszymi już rodzicami. W naszej wsi mieszkało kilka rodzin żydowskich, w 1942 r. Niemcy wszystkich naszych Żydów wywieźli w nieznaną i prawdopodobnie zamordowali.

Mój ślub z Michałem Rochem miał miejsce prawie na pewno 20 października 1942 r. w Swojczowie. Na uroczystość zaślubin jechałam z Michałem do kościoła drogą, trzeba było pokonać około 10 km. W tamtych czasach wszyscy poruszali się furmankami, także my i nasi goście weselni zdążyliśmy całą kolumną do Kościoła. Wszyscy byli pięknie i odświętnie ubrani, na twarzach pomimo wojny radość i beztroska, ani śladu strachu przed czającym się za zakrętem śmiertelnym niebezpieczeństwem. W tej radosnej chwili, gdy jechałam tuż obok mojego przyszłego męża, ani przez myśl nie przemknęło mi, że za niecały rok Ukraińcy na tych drogach, będą z siekierami czyhać na nasze życie. Wraz z nami, na innych furmankach jechała prawie cała nasza bliższa i dalsza rodzina. Wymienię tylko Stanisława Rocha i jego żonę Józefę z domu Walczak, którzy byli starostami na naszym weselu ze strony męża.

Uroczystości zaślubin przed cudownym obrazem udzielał nam duży, tęgi ksiądz, chyba nazywał się Franciszek Jaworski. Michał jako pan młody za nasz ślub chciał zapłacić gotówką, ale ksiądz wolał aby przywiózł mu pszenicy, tak też się stało. Zaraz po zaślubinach udaliśmy się wraz z wszystkimi gośćmi do naszego domu w Ludmiłpolu, gdzie było już przygotowane przyjęcie weselne. Radosne tańce i śpiewy trwały przez całą noc, aż do samego rana. Na moim weselu była też moja rodzona siostra Antonina wraz z jej mężem Grzegorzem Sałamacha oraz ich

dzieci, dwie córki: Helena, miała wtedy ok. 10 lat i Stanisława, lat około 8. Na stałe mieszkali we wsi Mikołajówka, gm Werba, to było około 7 km, albo więcej od naszej wsi. Zaraz po wojnie w Polsce, ktoś mi tłumaczył, że moja siostra Antonina i jej dzieci nie żyją, zostali prawdopodobnie zamordowani. Dziś już jednak nie pamiętam, kto mi to opowiadał.

Pierwsze miesiące małżeństwa wspominam bardzo dobrze, żyliśmy bardzo spokojnie, nikt nie sprawiał nam większych kłopotów. Tak było do Świąt Wielkiej Nocy w 1943 r., jednak zaraz po świętach przez naszą wieś, coraz częściej zaczęli nocą przejeżdżać Ukraińcy. Jechali najczęściej na furmankach i w grupie. Od tego momentu zaczął się rodzić w naszych sercach lęk przed Ukraińcami, mój mąż w trakcie kolejnego takiego przejazdu rzekł do mnie: **"Zasłoń okno od drogi, aby oni nie widzieli światła w naszym domu!"** Wyraźnie już obawialiśmy się, aby Ukraińcy nie przyszli do naszego domu i nie wyrządzili nam jakiejś krzywdy. Tymczasem na drugi dzień dowiedzieliśmy się od miejscowych ludzi, że właśnie tej nocy, gdy mój mąż wydał to polecenie, Ukraińcy zabrali nocą z domów w naszej wsi kilku silnych, młodych Polaków. Nikt z nich nie wrócił więcej do domu i słuch po nich zaginął, jestem prawie pewna, że zostali zamordowani w lesie. Wśród nich był Józef Feliksiak i sołtys Franciszek Puzio. To było na początku lipca, a jakieś dwa tygodnie później kilku uzbrojonych Ukraińców furmanką przyjechało nocą na nasze podwórko, tym razem po mojego męża Michała.

W nocy, około 23.00 do naszego domu w Ludmiłpolu przyszło dwóch Ukraińców i zaczęli się dobijać do domu. Mój tata podszedł do drzwi i zaczął z nimi rozmawiać. Okazało się, że chcieli koniecznie rozmawiać z Michałem, moim mężem. Mój ojciec nie chciał im otworzyć, wtedy Ukraińcy zaczęli krzyczeć, że jeśli zaraz nie otworzymy drzwi, podpalą nasz dom. Po tej groźbie mój tato Filip otworzył drzwi. Natychmiast dwóch Ukraińców wpadło do naszego domu i zaczęli się wypytywać o Michała Rocha. Stałam wtedy na środku izby z zaledwie jedno miesięczną córeczką Danusią. Powiedziałam, że uciekł i niema go w domu. Ukrainiec jednak mi nie dowierzał, wyciągnął pistolet w moim kierunku i powiedział: **"Mów gdzie mąż bo ci strzelę w łeb!"** Wyraźnie chciał mnie wtedy zabić, jednak w tym momencie drugi Ukrainiec powiedział do niego: **"Nie zabijaj jej jeszcze przyjdzie na nią czas."**

Po tych słowach zostawili nas w domu i polecieli szukać Michała, który zanim Ukraińcy zdążyli wejść do naszego domu szybko wyskoczył przez okno na podwórko. Opowiadał mi kilkanaście godzin później, że gdy tylko znalazł się za oknem zaatakował go tam trzeci Ukrainiec, który obstawiał dom od tej strony. Za chwilę już dwóch Ukraińców próbowało go ująć, Michał próbował odebrać im karabin i dostać się niedaleko rosnącego zboża: żyta. Udało mu się i żytem, a potem miedzą uciekł do Kohylna do Rochów na Zastawie. Przyszedł do swojego rodzinnego domu i wysłał po mnie do Ludmiłpola Józefę, żonę Stanisława Rocha. Józefa i Stach mieszkali razem jako młode małżeństwo na Zastawiu. Ich rodzice Anna i Antoni pomarli jeszcze przed wojną. W domu byli jeszcze Bolesław Roch i jego siostra Anastazja, to była młodzież. Najstarszy brat Michała miał na imię Aleksander i był z roku 1902, potem urodził się Marian, a następnie Stanisław. Potem przyszła na świat Józefa z 1910 r., do dziś żyje i mieszka w Jarosławiu. Po niej dopiero narodził się mój przyszły mąż Michał Roch, był z roku 1912.

Pamiętam jak dziś, że Józka kiedy do nas przyszła, płakała i opowiadała co się wydarzyło w ostatnich godzinach. Michał dziś w nocy przybiegł do nich na Zastawie tak przestraszony, że wciąż nie może powiedzieć słowa, Józka powiedziała tak: **"Michał uciekł i jest u nas, powiedział, abyś wzięła dziecko i przyszła ze mną na Zastawie."** Zaraz wzięłam dziecko i poszłam na Zastawie do Rochów, w domu zostali tylko moi rodzice Monika i Filip. To był ostatni